

HARLAN COBEN

Za wszelką cenę

Thriller



ALBATROS

Tytuł oryginału:
I WILL FIND YOU

Copyright © Harlan Coben 2023
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Robert Waliś 2023

Redakcja: Agnieszka Łodzińska

Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka

Przygotowanie okładki do druku: PLUS 2 Witold Kuśmierczyk

Zdjęcie na okładce: © Ildiko Neer/Trevillion Images

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Odsiaduję piąty rok dożywocia za zamordowanie własnego dziecka.

Nie będę was trzymał w niepewności: nie zrobiłem tego.

Mój synek Matthew miał trzy lata, kiedy został brutalnie zabity. Był najlepszym, co mi się przydarzyło, ale go straciłem, a od jego śmierci odsiaduję wyrok dożywocia. Nie metaforycznie. A raczej nie tylko metaforycznie. Moje życie byłoby skończone, nawet gdybym nie został aresztowany, osądzony i skazany.

W moim wypadku wyrok dożywocia jest zarówno metaforyczny, jak i dosłowny.

Pewnie się zastanawiacie, jak to możliwe, że jestem niewinny?

Po prostu jestem.

Ale czy nie walczyłem i ze wszystkich sił nie zapewniałem o swojej niewinności?

Niespecjalnie. Myślę, że ma to związek z wyrokiem metaforycznym. Nie obchodziło mnie, czy zostanę uznany za winnego. Wiem – to wydaje się szokujące, ale wcale takie nie jest. Mój syn nie żyje. Oto sedno sprawy, wiadomość dnia

i nagłówek. Mój syn odszedł i decyzja ławy przysięgłych nie mogła tego zmienić. Winny czy niewinny, zawiodłem własne dziecko. Matthew nie wróciłby do życia, gdyby ławnicy dostrzegli prawdę i mnie uwolnili. Ojciec powinien chronić syna. To jego najważniejsze zadanie. Choć tej okropnej nocy pięć lat temu to nie ja trzymałem w dłoniach broń, która zamieniła moje piękne dziecko w zmasakrowane zwłoki, nie udało mi się temu zapobiec. Nie spełniłem swojej powinności jako ojciec. Nie ochroniłem go.

Niezależnie od tego, czy popełniłem zabójstwo, czy nie, to moja wina i zasłużyłem na karę.

Dlatego niemal nie zareagowałem, gdy przewodnicząca ławy przysięgłych odczytała werdykt. Obserwatorzy, zgodnie z przewidywaniami, uznali, że zapewne jestem socjopatą, psychopatą, człowiekiem obłąkanym lub zaburzonym. Media twierdziły, że nie mam uczuć. Brakowało mi genu empatii, nie odczuwałem wyrzutów sumienia, miałem martwe spojrzenie i ogólnie stanowiłem podręcznikowy przykład zabójcy. Nic z tego nie było prawdą. Po prostu nie widziałem w tym wszystkim sensu. Otrzymałem druzgoczący cios, gdy tamtej nocy znalazłem synka, ubranego w piżamę z bohaterami Marvela. Ten cios rzucił mnie na kolana i nie potrafiłem się podnieść. Ani wtedy, ani później. Wciąż nie potrafię.

Rozpoczęła się dla mnie metaforyczna kara dożywocia.

Jeśli uważacie, że to będzie opowieść o niesłusznie skazanym człowieku, który dowodzi swojej niewinności, mylicie się. To nie byłaby ciekawa historia. Ostatecznie to nie ma znaczenia. Wyjście z tej piekielnej celi nie doprowadziłoby mnie do odkupienia. Mój syn wciąż byłby

martwy.

W tym wypadku odkupienie jest niemożliwe.

A przynajmniej tak uważałem do chwili, gdy strażnik, wyjątkowy ekscentryk, którego nazywamy Kędziorem, wszedł do mojej celi i powiedział:

– Masz gościa.

Nie poruszyłem się, ponieważ myślałem, że mówi do kogoś innego. Siedzę tu już od niemal pięciu lat i jak dotąd nikt mnie nie odwiedził. W pierwszym roku próbował to zrobić mój ojciec. Podobnie jak ciocia Sophie i garstka przyjaciół oraz krewnych, którzy wierzyli w moją niewinność, a przynajmniej w to, że nie jestem naprawdę winny. Odmówiłem spotkania z nimi. Matka Matthew, wtedy jeszcze moja żona (dziś już nie, co nie jest niczym zaskakującym), także chciała się ze mną zobaczyć, choć bez entuzjazmu, ale do tego nie dopuściłem. Postawiłem sprawę jasno: żadnych widzeń. Nie użalałem się nad sobą, ale odwiedziny nie pomagają żadnej ze stron. Nie widziałem w tym sensu i nadal nie zmieniłem zdania.

Minął rok. Potem drugi. W końcu wszyscy przestali starać się o widzenia. Co prawda nikt, może poza Adamem, i tak nie rwał się do podróży do Maine, ale wiecie, o co mi chodzi. A teraz, po raz pierwszy od bardzo dawna, ktoś postanowił odwiedzić mnie w zakładzie karnym Briggs.

– Burroughs, idziemy – rzuca Kędzior burkliwie. – Masz gościa.

Krzywię się.

– Kto to?

– Wyglądam jak twoja sekretarka?

– Dobrze.

- Co?
- Ten tekst z sekretarką. Bardzo zabawny.
- Robisz sobie ze mnie jaja?
- Nie mam ochoty na odwiedzinę – odpowiadam. –

Odeślijcie tego kogoś.

Kędzior wzdycha.

- Burroughs.
- No co?
- Rusz dupę. Nie wypełniłeś formularzy.
- Jakich formularzy?
- Jeśli nie chcesz przyjmować gości, musisz wypełnić

papiery – tłumaczy Kędzior.

– Myślałem, że jeśli ktoś chce się ze mną zobaczyć, musi się znajdować na mojej liście gości.

– Na liście gości – powtarza, kręcąc głową. – Myślisz, że jesteś w hotelu?

– W hotelach są listy gości? – ripostuję. – Tak czy inaczej, podpisałem jakiś papier, w którym zaznaczyłem, że nie życzę sobie odwiedzin.

– Kiedy tu trafiłeś.

– Właśnie.

Kędzior znów wzdycha.

– Trzeba podpisywać go na nowo co roku.

– Jak to?

– Wypełniłeś w tym roku formularz dotyczący zrzeczenia się odwiedzin?

– Nie.

Rozkłada ręce.

– No właśnie. Więc wstawaj.

– Nie możesz powiedzieć temu gościowi, żeby sobie

poszedł?

– Nie, Burroughs, nie mogę i zaraz wytłumaczę dlaczego. Kosztowałoby mnie to więcej wysiłku niż zawleczenie cię do sali odwiedzin. Gdybym to zrobił, musiałbym wyjaśnić, dlaczego nie przyszedłeś, gość mógłby zadawać pytania, a potem musiałbym pewnie wypełnić jakiś formularz i łązić tam i z powrotem. Lepiej dla nas obu, żebyś nie musiał tego robić. Dlatego powiem ci, co się stanie. Pójdiesz tam teraz ze mną i jeśli chcesz, możesz się wcale nie odzywać. Potem podpiszesz odpowiednie papiery i obaj więcej nie będziemy musieli przez to przechodzić. Jasne?

Siedzę tu wystarczająco długo, by wiedzieć, że opór nie tylko nic nie daje, ale też może jeszcze zaszkodzić. Poza tym muszę przyznać, że jestem zaciekawiony.

– Jasne – odpowiadam.

– Świetnie. Idziemy.

Oczywiście znam procedury. Kędzior zakłada mi kajdanki i łańcuch na brzuchu, dzięki któremu moje ręce mogą być przykute do pasa. Odpuszcza kajdanki na kostkach, głównie dlatego, że trudno się je zakłada i zdejmuje. Z mojej celi do strefy odwiedzin jest dosyć daleko. W naszym bloku obecnie siedzi osiemnastu więźniów – siedmiu pedofilów, czterech gwałcicieli, dwóch seryjnych zabójców kanibali, dwóch „zwykłych” seryjnych zabójców, dwóch zabójców policjantów oraz jeden dzieciobójca (czyli ja). Niezła zbieranina.

Kędzior posyła mi surowe spojrzenie, co jest rzadkością. Większość strażników to znudzeni niedoszli policjanci lub umięśnione głaby traktujące więźniów z oszałamiającą apatią. Chcę go spytać, co go ugryzło, ale wiem, kiedy lepiej

się nie odzywać. Człowiek szybko się tego tutaj uczy. Czuję, że lekko drżą mi nogi. Jestem dziwnie zdenerwowany. Tak naprawdę już się zadomowiłem. Jest tutaj koszmarnie – gorzej, niż można sobie wyobrazić – ale zdołałem przywyknąć. Ten gość, kimkolwiek jest, zapewne ma mi do powiedzenia coś, co wstrząśnie moim światem.

Wcale mi się to nie podoba.

Przypominam sobie tamtą krwawą noc. Dużo myślę o krwi. Widzę ją także w snach. Nie wiem, jak często. Na początku działo się to każdej nocy. Teraz mniej więcej raz w tygodniu, ale tego nie śledzę. W więzieniu czas nie płynie normalnie. Zatrzymuje się, porusza się żabką albo zygzakiem. Pamiętam, jak obudziłem się w łóżku, które dzieliłem z żoną, Cheryl. Nie spojrzałem na zegarek, ale jeśli interesują was szczegóły, była czwarta nad ranem. W domu było cicho, wyczułem jednak, że coś jest nie w porządku. A może teraz tak mi się wydaje. Pamięć potrafi opowiadać niezwykle historie. Możliwe, że wcale niczego nie wyczułem. Teraz już nie jestem w stanie tego stwierdzić. W każdym razie nie zerwałem się z łóżka. Potrzebowałem czasu, żeby wstać. Leżałem jeszcze przez kilka minut; mój mózg tkwił w tej dziwnej przestrzeni między jawą a snem, powoli unosząc się ku świadomości.

W końcu usiadłem, a następnie ruszyłem korytarzem do pokoju Matthew.

Wtedy zauważyłem krew.

Była bardziej czerwona, niż sobie wyobrażałem – jaskrawa jak kredka świecowa, krzykliwa i kpiąca jak szminka klauna na białym prześcieradle.

Ogarnęła mnie panika. Zawołałem syna. Niezdarnie

pobiegłem do jego pokoju, uderzyłem w futrynę i ponownie go zawołałem. Nie odpowiedział. Wpadłem do pokoju i znalazłem... coś nierozpoznawalnego.

Podobno zacząłem krzyczeć.

Tak zastała mnie policja. Wciąż wrzeszczałem. Krzyki były jak kawałki szkła, które przesywały każdą cząstkę mojego ciała. W końcu musiałem się uciszyć. Nie pamiętam tego. Może pękły mi struny głosowe. Ale echo tych krzyków nigdy mnie nie opuściło. Te kawałki szkła wciąż mnie kaleczą, rozdzierają i masakrują.

– Pośpiesz się, Burroughs – mówi Kędzior. – Ona na ciebie czeka.

Ona.

Powiedział „ona”. Przez chwilę wyobrażam sobie, że to Cheryl, i moje serce przyśpiesza. Ale nie, ona nie przyjdzie, zresztą wcale bym tego nie chciał. Nasze małżeństwo trwało osiem lat. Myślę, że przez większość czasu byliśmy szczęśliwi. Pod koniec nie było już tak dobrze. Codzienny stres coraz bardziej oddalał nas od siebie. Czy wyszlibyśmy z tego obronną ręką? Nie wiem. Czasami myślę, że ze względu na Matthew mielibyśmy więcej motywacji do pracy nad sobą i zostalibyśmy razem, ale potem dochodzę do wniosku, że to tylko pobożne życzenia.

Wkrótce po moim skazaniu podpisałem dokumenty rozwodowe. Nigdy więcej nie rozmawialiśmy. To był mój wybór, nie jej. Nie wiem, jak potoczyło się jej życie. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest, czy wciąż czuje się zraniona i oplakuje syna, a może zbudowała nowe życie. Może lepiej, bym tego nie wiedział.

Dlaczego tamtego wieczoru nie poświęciłem więcej czasu

Matthew?

Nie mówię, że byłem złym ojcem. Nie uważam tak. Ale tamtego wieczoru po prostu nie byłem w nastroju. Trzylatki potrafią być męczące. No i nudne. Wszyscy to wiemy. Rodzice próbują udawać, że każda chwila spędzona z dzieckiem jest błogosławieństwem. To nieprawda. A przynajmniej tak uważałem tamtego dnia. Nie przeczytałem mu bajki na dobranoc, ponieważ mi się nie chciało. Straszne, prawda? Po prostu położyłem go do łóżka, bo zajmowały mnie własne nieistotne sprawy i obawy. Co za idiotyzm. Każdy pozwala sobie na luksus głupoty, gdy wszystko w życiu się układa.

Cheryl, która właśnie skończyła staż specjalizacyjny na chirurgii, miała nocny dyżur na wydziale transplantologii w szpitalu Boston General. Byłem w domu sam z Matthew. Zaczęłem pić. Nie robię tego często i nie mam mocnej głowy, ale w ciągu kilku ostatnich miesięcy, które nie były łatwe dla Cheryl i naszego małżeństwa, znalazłem w alkoholu może nie tyle pocieszenie, ile otępienie. Nie żałowałem sobie i bardzo szybko odczułem skutki. Mówiąc w skrócie, wypłem za dużo i zasnąłem, więc zamiast opiekować się dzieckiem, zamiast chronić synka, zamiast upewnić się, że drzwi są zamknięte (nie były), i czuwać, dzięki czemu mógłbym usłyszeć włamywacza albo przynajmniej dziecięcy krzyk strachu i bólu, znajdowałem się w stanie, który oskarżyciel kpiąco nazwał „pijacką drzemką”.

Nie pamiętam, co było dalej, aż do chwili, gdy poczułem tę woń.

Wiem, co sobie myślicie: może on (czyli ja) naprawdę to zrobił. W końcu dowody przeciwko mnie były przytłaczające.

Rozumiem. Macie prawo tak myśleć. Czasami sam się nad tym zastanawiam. Trzeba być ślepyim albo obłąkanym, żeby nie brać tego pod uwagę, dlatego pozwólcie, że opowiem wam pewną powiązaną historię. Kiedyś kopnąłem Cheryl przez sen. Śniło mi się, że wielki szop pracz atakuje naszego pieska, Laszlo, więc w panice wymierzyłem szopowi solidnego kopniaka, a tak naprawdę przykopałem żonie w piszczel. Z perspektywy czasu to było całkiem zabawne. Cheryl próbowała zachować spokój, podczas gdy ja się tłumaczyłem („Naprawdę chciałybyś, żeby szop pracz pożarł Laszlo?”), ale moja cudowna żona chirurg, kobieta, która kochała Laszlo i wszystkie psy, i tak kipiała ze złości.

„Może podświadomie chciałeś mnie skrzywdzić”, stwierdziła.

Powiedziała to z uśmiechem, więc raczej nie mówiła poważnie. Ale może się mylę. Szybko o tym zapomnieliśmy i spędziliśmy wspaniały dzień razem. Dziś często wracam do tego myślą. Tamtej nocy też spałem i coś mi się śniło. Jeden kopniak to nie to samo co zabójstwo, ale kto wie? Narzędziem zbrodni był kij baseballowy. Pani Winslow, która od czterdziestu lat mieszkała po sąsiedzku, widziała, jak go zakupuję. To mnie pogrążyło, chociaż nie wiem, dlaczego miałbym być tak głupi, by zakopywać narzędzie zbrodni blisko domu, nie usunąwszy odcisków palców. Zastanawiam się nad wieloma takimi kwestiami. Na przykład nad tym, że chociaż kilka razy zdarzyło mi się za dużo wypić – jak każdemu – to nigdy wcześniej tak szybko nie zasnąłem. Może ktoś dosypał mi czegoś do alkoholu? Niestety, kiedy zostałem podejrzanym w sprawie, było już za późno, by to sprawdzić. Lokalni policjanci, z których wielu ubóstwiało

mojego ojca, początkowo mnie wspierali. Przyjrzeni się kilku bandzirom, których posłał za kratki, uważałem jednak, że to ślepy trop. Owszem, tata narobił sobie wrogów, ale to było dawno temu. Dlaczego któryś z nich miałby z zemsty zabijać trzyletniego chłopca? To nie miało sensu. Nie znaleziono żadnych śladów molestowania ani innego motywu, więc pozostawał tylko jeden prawdopodobny podejrzany.

Ja.

Więc może rzeczywiście wydarzyło się coś w rodzaju mojego snu o szopie praczu. Nie można tego wykluczyć. Mój adwokat, Tom Florio, chciał postawić na tę wersję. Moja rodzina, a przynajmniej niektórzy jej członkowie, również się ku temu skłaniała. Ograniczona poczytalność jako linia obrony. Zdarzało mi się lunatykować, co na siłę dało się podciągnąć pod zaburzenie psychiczne. Przypominali mi, że mogę to wykorzystać.

Ale nie zamierzałem przyznać się do winy, ponieważ tego nie zrobiłem. Nie zabiłem synka. Wiem o tym. Po prostu wiem. Chociaż zdaję sobie sprawę, że każdy sprawca tak mówi.

Kędzior i ja pokonujemy ostatni zakręt. Zakład karny Briggs jest wyłożony starym asfaltem. Wszystko tu jest szare, jak wyblakła szosa po deszczu. Przeniosłem się tutaj ze stojącego na ponadhektarowej działce przy ślepej uliczce kolonialnego domu, z trzema sypialniami i dwiema łazienkami, ścianami w kolorze słonecznej żółci, zielonymi okiennicami, wykończeniami w ziemistych odcieniach i sosnowymi antykami. Ale to nieistotne. Otoczenie jest nieistotne. Życie uczy nas, że to, co na zewnątrz, jest przemijające i ulotne, więc nie ma znaczenia.

Rozlega się brzęczenie i Kędzior otwiera drzwi. W wielu więzieniach znajdują się nowoczesne strefy odwiedzin. Więźniowie, którzy nie są uznawani za niebezpiecznych, mogą siedzieć ze swoimi gośćmi przy stolikach, bez oddzielających ich przegród. Mnie to nie dotyczy. W Briggs wciąż mamy kuloodporne szyby z pleksiglasu. Siadam na metalowym stołku przykręconym do podłogi. Strażnik luzuje łańcuch, żebym mógł dosięgnąć słuchawki. Właśnie tak rozmawia się z osadzonymi w więzieniu o zaostrzonym rygorze – przez telefon i szybę.

Osobą, która mnie odwiedziła, nie jest moja była żona Cheryl, ale ktoś do niej podobny.

To jej siostra, Rachel.

Siedzi po drugiej stronie szyby, a kiedy mnie zauważa, otwiera szerzej oczy. Prawie się uśmiecham, widząc jej reakcję. Jej niegdyś ukochany szwagier, mężczyzna o ekscentrycznym poczuciu humoru i łobuzerskim uśmiechu, z pewnością zmienił się przez ostatnie pięć lat. Ciekawe, co przede wszystkim zwraca jej uwagę. Pewnie utrata wagi. Albo raczej strzaskane kości twarzy, które źle się zrosły. A może blada karnacja, zgarbiona sylwetka, kiedyś wysportowana, lub przerzedzone siwiejące włosy.

Siadam i patrzę na nią przez pleksiglasową szybę. Biorę do ręki słuchawkę i pokazuję, że powinna zrobić to samo. Kiedy podnosi słuchawkę do ucha, odzywam się:

– Co tutaj robisz?

Prawie udaje jej się uśmiechnąć. Zawsze byliśmy ze sobą blisko. Lubiałem spędzać z nią czas. Ona lubiła spędzać czas ze mną.

– Widzę, że nie tracisz czasu na uprzejmości.

– Przyszedł po to, żeby wymieniać ze mną uprzejmości, Rachel?

Ślad uśmiechu znika z jej twarzy. Kręci głową.

– Nie.

Czekam. Sprawia wrażenie zmęczonej, ale wciąż jest piękna. Ma takie same jasnoblond włosy jak Cheryl i takie same ciemnozielone oczy. Poprawiam się na stołku i siadam lekko bokiem, ponieważ nie jestem w stanie w nie patrzeć.

Rachel powstrzymuje łzy i kręci głową.

– To jakieś szaleństwo.

Spuszcza wzrok i przez chwilę widzę w niej tamtą osiemnastolatkę, którą poznałem, kiedy Cheryl po raz pierwszy zaprosiła mnie do swojego domu w New Jersey na pierwszym roku studiów w Amherst College. Rodzice Cheryl i Rachel nigdy mnie nie zaakceptowali. Miałem nieco zbyt plebejskie korzenie jak na ich gust, wychowałem się w kamienicy, a mój ojciec był gliniarzem. Ale Rachel od razu mnie polubiła i stała się dla mnie niemal jak siostra. Zależało mi na niej. Chciałem ją chronić. Rok później pomogłem jej się zdomowić na Uniwersytecie Lemhall, a następnie na Columbii, gdzie studiowała dziennikarstwo.

– Dawno się nie widzieliśmy – mówi.

Kiwam głową. Chcę, żeby sobie poszła. Trudno jest mi na nią patrzeć. Czekam. Rachel milczy. W końcu ja się odzywam, bo widzę, że potrzebuje koła ratunkowego.

– Co u Sama? – pytam.

– W porządku. Pracuje w firmie farmaceutycznej Merton. W dziale sprzedaży. Awansował na kierownika i dużo podróżuje. – Wzrusza ramionami. – Rozwiędlił się.

– Aha, przykro mi.

Kręci głową. Tak naprawdę wcale nie jest mi przykro. Zawsze uważałem, że Sam na nią nie zasługuje, ale w sumie myślałem tak o większości jej chłopaków.

– Wciąż piszesz dla „Globe”? – pytam.

– Nie – odpowiada stanowczym tonem, który zamyka temat.

Siedzimy w milczeniu jeszcze przez kilka sekund. Potem próbuję jeszcze raz.

– Chodzi o Cheryl?

– Nie. Nie do końca.

Przełykam ślinę.

– Co u niej?

Rachel wykręca palce. Ucieka wzrokiem, byle na mnie nie patrzeć.

– Ponownie wyszła za mąż.

Jej słowa są jak cios w żołądek, ale przyjmuję je bez mrugnięcia okiem. Właśnie dlatego, myślę. Właśnie dlatego nie chcę żadnych odwiedzin.

– Nigdy cię nie obwiniała. Nikt z nas tego nie robił.

– Rachel?

– Słucham?

– Po co tu przyszłaś?

Znów milkniemy. Za jej plecami widzę przyglądającego się nam strażnika, którego nie znam. Jest tutaj z nami trzech innych osadzonych. Nie kojarzę żadnego z nich. Briggs to duże więzienie, a ja próbuję trzymać się na uboczu. Kusi mnie, żeby odejść, ale Rachel w końcu przerywa ciszę.

– Sam ma przyjaciela – odzywa się.

Czekam.

– Można do końca przyjaciela. Raczej współpracownika.

Zajmuje się marketingiem oraz zarządzaniem w Mertonie. Nazywa się Tom Longley. Ma żonę i dwóch synów. Sympatyczna rodzina. Kiedyś spotykaliśmy się na firmowych grillach. Jego żona ma na imię Irene. Lubię ją, jest całkiem zabawna.

Rachel milknie i kręci głową.

– Źle się do tego zabieram.

– Ależ nie – sprzeciwiam się. – Jak na razie to świetna historia.

Rachel uśmiecha się szczerze w odpowiedzi na mój sarkazm.

– Wyczuwam ślad dawnego Davida – mówi.

Znów zapada cisza. Kiedy ponownie się odzywa, jej ton jest bardziej wyważony.

– Dwa miesiące temu Longleyowie wybrali się na wycieczkę firmową do parku rozrywki w Springfield. Nazywa się chyba Six Flags. Zabrali ze sobą synów. Irene i ja wciąż się przyjaźnimy, więc pewnego dnia zaprosiła mnie na lunch. Opowiadała o wycieczce i trochę plotkowała, ponieważ Sam zabrał tam swoją nową dziewczynę. Jakby mnie to obchodziło. Ale to nieistotne.

Powstrzymuję się przed sarkastyczną ripostą i patrzę jej w oczy. Wytrzymuje moje spojrzenie.

– A potem Irene pokazała mi zdjęcia.

Rachel milknie. Nie mam pojęcia, do czego zmierza, ale w głowie niemal słyszę złowieszczą ścieżkę dźwiękową. Rachel wyjmuje brązową kopertę. Chyba dwadzieścia pięć na dwadzieścia centymetrów. Kładzie ją przed sobą na krawędzi blatu. Wpatruje się w nią nieco za długo, jakby rozważała kolejny krok. Potem jednym ruchem chwyta

kopertę, coś z niej wyjmuje i przyciska do szyby.

Zgodnie z zapowiedzią jest to zdjęcie.

Nie wiem, co o nim myśleć. Rzeczywiście wykonano je w parku rozrywki. Jakaś kobieta – ciekawe, czy to ta całkiem zabawna Irene – uśmiecha się nieśmiało do aparatu. Na biodrach trzyma dwóch chłopców, zapewne Longleyów, którzy nie patrzą w obiektyw. Po prawej stronie stoi ktoś w kostiumie Królika Bugsa, a po lewej ktoś przebrany za Batmana. Irene sprawia wrażenie nieco zmęczonej, ale radosnej. Mogę sobie wyobrazić tę scenę. Stary dobry Tom z działu marketingu wesoło zachęca całkiem zabawną Irene, żeby zapozowała do zdjęcia, całkiem zabawna Irene nie jest w nastroju, ale nie chce psuć zabawy, dwaj chłopcy nie chcą o tym słyszeć – wszyscy to znamy. W tle widać ogromną czerwoną kolejkę górską. Słońce oświetla twarze Longleyów, co tłumaczy, dlaczego mrużą oczy i lekko odwracają głowy.

Rachel nie spuszcza mnie z oczu.

Podnoszę na nią wzrok. Cały czas przyciska zdjęcie do szyby.

– Przyjrzyj się uważniej, David.

Patrzę na nią jeszcze przez kilka sekund, a potem znów przenoszę wzrok na fotografię. Tym razem od razu to dostrzegam. Stalowe szpony sięgają w głąb mojej piersi i ściskają serce. Tracę oddech.

Widzę chłopca.

Stoi w tle, przy prawej krawędzi kadru, niemal poza zdjęciem. Jest zwrócony profilem, jakby pozował do wizerunku na monecie. Wygląda na jakieś osiem lat. Ktoś, być może dorosły mężczyzna, trzyma go za rękę. Chłopiec podnosi wzrok; pewnie spogląda na plecy mężczyzny, ale

ten znajduje się poza kadrem.

Czuję, że łzy napływają mi do oczu, i nieśmiało wyciągam palce. Głaszczę wizerunek chłopca przez szybę. Oczywiście to niemożliwe. Zdesperowany człowiek widzi to, co chce zobaczyć, a nie oszukujemy się – żaden spragniony, oszalały od upału, wyposzczony pustynny wędrowiec, który ujrzał miraż, nie jest tak zdesperowany jak ja. Matthew nie miał jeszcze trzech lat, kiedy został zamordowany. Nikt, nawet kochający rodzic, nie mógłby odgadnąć, jak wyglądałby za pięć lat. A przynajmniej nie mógłby mieć pewności. Ten chłopiec po prostu jest podobny, to wszystko. Wygląda jak Matthew. Wygląda jak on. Zwykle podobieństwo. Nic więcej. Podobieństwo.

Z mojej krtani wyrywa się szloch. Wciskam pięść do ust i ją zagryzam. Dopiero po kilku sekundach jestem w stanie się odezwać. Kiedy to robię, wypowiadam dwa proste słowa.

– To Matthew.

Rozdział 2

Rachel wciąż przyciska zdjęcie do szyby.

– Wiesz, że to niemożliwe – mówi.

Nie odpowiadam.

– On przypomina Matthew, nie przeczę – dodaje z wymuszoną obojętnością. – Nawet bardzo. Ale Matthew był małym dzieckiem, kiedy... – Urywa, zbiera się w sobie i znów zaczyna mówić. – A jeśli popatrzyś na znamię na jego policzku, to zobaczysz, że jest mniejsze.

– Tak powinno być – rzucam.

Olbrzymie znamię naczyniowe, które pokrywało prawą stronę twarzy mojego synka, fachowo nazywa się naczyniakiem włóściczkowym wrodzonym. Chłopiec na zdjęciu też takie ma – mniejsze, bledsze, ale w tym samym miejscu.

– Lekarze powiedzieli, że tak się stanie – kontynuuję. – I w końcu znamię całkowicie zniknie.

Rachel kręci głową.

– David, oboje wiemy, że to nie może być prawda.

Milczę.

– To tylko dziwny zbieg okoliczności. Duże podobieństwo oraz pragnienie zobaczenia tego, co chcemy... potrzebujemy... zobaczyć. Nie zapominajmy o ustaleniach lekarzy sądowych i wynikach badań DNA...

– Przestań – przerywam jej.

– Słucham?

– Nie przyniosłaś mi tego zdjęcia tylko dlatego, że uważałaś, że ten chłopiec przypomina Matthew.

Rachel zaciska powieki.

– Rozmawiałam z technikiem z bostońskiej policji. Dałam mu stare zdjęcie Matthew.

– Które zdjęcie?

– To, na którym ma koszulkę z Amherst College.

Kiwam głową. Cheryl i ja kupiliśmy ją dla niego podczas spotkania absolwentów. Przerobiliśmy to zdjęcie na kartkę świąteczną.

– Facet użył programu do postarzania. Najnowszego, jakie jest dostępne na rynku. Gliny używają go podczas poszukiwań zaginionych osób. Poprosiłam, żeby postarzył chłopca na zdjęciu o pięć lat, i...

– ...wynik się zgadza – kończę za nią.

– Jest wystarczająco podobny. Program nie daje stuprocentowej pewności. Rozumiesz to, prawda? Nawet mój znajomy tak powiedział... a nie wie, dlaczego go o to poprosiłam. Musisz zdawać sobie z tego sprawę. Nikomu o tym nie mówiłam.

Jestem zaskoczony.

– Nie pokazałaś tego zdjęcia Cheryl?

– Nie.

– Dlaczego?

Rachel wierci się na niewygodnym stołku.

– To szaleństwo – mówi w końcu.

– Co jest szaleństwem?

– Cała ta sprawa. To nie może być Matthew. Oboje pozwalamy, żeby pragnienia mąciły nam w głowie.

– Rachel...

Patrzy mi w oczy.

– Dlaczego nie pokazałaś tego zdjęcia siostrze? – naciskam.

Rachel obraca pierścionki na palcach. Odwraca wzrok i zaczyna niespokojnie rozglądać się po pomieszczeniu.

– Musisz zrozumieć – mówi, gdy wreszcie się wycisza.

– Cheryl próbuje na nowo ułożyć sobie życie. Pozostawić to wszystko za sobą.

Czuję, jak serce tłucze mi się w piersi.

– Jeśli jej powiem, wywrócę to nowe życie do góry nogami – ciągnie Rachel. – Taka fałszywa nadzieja może ją zniszczyć.

– Ale mnie o tym mówisz.

– Bo ty nie masz niczego, David. Co z tego, jeśli wywrócę twoje życie do góry nogami? Nie masz życia. Już dawno z niego zrezygnowałeś.

Jej słowa może brzmią szorstko, ale w jej głosie nie ma gniewu ani groźby. Rachel oczywiście ma rację. Nie mam niczego do stracenia. Jeżeli mylimy się w sprawie tego zdjęcia – a będąc obiektywnym, muszę przyznać, że to bardzo prawdopodobne – nic się dla mnie nie zmieni. Wciąż będę tutaj zamknięty i będę stopniowo marniał, bez najmniejszej chęci spowolnienia tego procesu.

- Ona ponownie wyszła za mąż – odzywa się Rachel.
- Już mówiłaś.
- Do tego jest w ciąży.

Lewy podbródkowy, a zaraz po nim mocny prawy hak. Zataczam się, a sędzia rozpoczyna liczenie.

- Nie zamierzałam ci mówić...
- Nie szkodzi.
- A jeśli spróbujemy coś z tym zrobić...
- Rozumiem – przerywam jej.
- Dobrze, ponieważ nie wiem, co dalej. To nie jest dowód, który przekonałby rozsądną osobę. Chyba że chcesz, żebym spróbowała. Mogłabym pójść z tym do prokuratora albo na policję.

- Wyśmialiby cię.
- Właśnie. Ale może prasa się tym zainteresuje.
- Nie.
- Albo... albo Cheryl. Jeśli uważasz, że to dobry pomysł. Może uzyskalibyśmy zgodę na ekshumację. Nowa sekcja zwłok lub badanie DNA mogłyby rozwiązać wątpliwości. Może mógłbyś liczyć na nowy proces...

- Nie.
- Jak to? Dlaczego?
- Przynajmniej nie teraz – odpowiadam. – Nie możemy nikomu o tym powiedzieć.

Rachel sprawia wrażenie zaskoczonej.

- Nie rozumiem.
- Jesteś dziennikarką.
- A więc?
- A więc wiesz – odpowiadam i nieco się nachylam. – Jeśli to wyjdzie na jaw, media rzucają się na ten temat. Prasa

znów nie da nam spokoju.

– Nam? Czy raczej chodzi o ciebie?

Po raz pierwszy słyszę nerwowość w jej głosie. Czekam. Rachel się myli – nie chodzi o mnie. Za chwilę to zrozumie. Kiedy znaleziono Matthew, media donosiły o tej sprawie z wyczuciem i empatią. Skupiały się na ludzkiej tragedii, podsycając strach związany z tym, że zabójca wciąż jest na wolności, więc ludzie muszą zachować czujność. Media społecznościowe nie były tak delikatne. *To na pewno ktoś z rodziny*, szybko stwierdził ktoś na Twitterze. *Założę się, że to jego ojciec przegryw*, napisał ktoś inny i zebrał mnóstwo lajków. *Pewnie wkurzył go sukces żony*. I tak dalej.

Kiedy nikogo nie zatrzymano i sprawa zaczęła przycichać, media nie kryły frustracji i zniecierpliwienia. Eksperci zaczęli dopytywać, jak to możliwe, że przespałem masakrę. W końcu drobne przecieki zmieniły się w powódź. Niedaleko naszego domu znaleziono narzędzie zbrodni, kij baseballowy, który kupiłem cztery lata wcześniej. Jeden ze świadków, nasza sąsiadka, pani Winslow, utrzymywała, że tamtej nocy widziała, jak go zakopuję. Badania laboratoryjne potwierdziły, że na kiju znajdowały się wyłącznie moje odciski palców.

Media były zachwycone tym nowym podejściem, głównie dlatego, że dogorywająca historia otrzymała nowe życie. Rzucili się na nią ze wszystkich stron. Psychiatra, który leczył mnie w przeszłości, zdradził, że cierpiełem na nocne lęki i lunatykowałem. Cheryl i ja mieliśmy poważne problemy małżeńskie. Niewykluczone, że miała romans. Sami rozumiecie. Gazety domagały się, żeby mnie aresztowano i postawiono mi zarzuty. Twierdzono, że jestem

traktowany ulgowo, ponieważ mój ojciec był gliniarzem. Co jeszcze zamieciono pod dywan? Gdybym nie był białym mężczyzną, już siedziałbym za kratkami. Oto przykład rasizmu, uprzywilejowania, podwójnych standardów.

Wiele z tego zapewne było prawdą.

– Myślisz, że przejmuję się mediami? – pytam.

– Nie – odpowiada cicho. – Ale nie rozumiem, jak prasa może nas teraz skrzywdzić.

– Napiszą o tym.

– Wiem, ale co z tego?

Patrzy mi prosto w oczy.

– Wszyscy o tym usłyszą – odpowiadam. – Wliczając... – wskazuję dłoń, która zaciska się na ręce Matthew – tego gościa.

Cisza.

Czekam, aż Rachel coś powie. W końcu sam się odzywam.

– Nie rozumiesz? Jeśli on się dowie, że jesteśmy na jego tropie, kto wie, jak zareaguje? Może ucieknie. Ukryje się tak, że nigdy go nie znajdziemy. Albo uzna, że nie może dłużej ryzykować. Uważał, że jest bezpieczny, ale skoro to się zmieniło, być może zechce raz na zawsze pozbyć się dowodów.

– Policja może prowadzić dochodzenie dyskretnie – odpowiada Rachel.

– Nic z tego. To wypłynie. Zresztą nie podejda do tego poważnie. Nie wystarczy im zdjęcie. Dobrze o tym wiesz.

Rachel kręci głową.

– Więc co powinniśmy zrobić?

– Jesteś szanowaną dziennikarką śledczą.

– Już nie.

– Dlaczego? Co się stało?

Ponownie kręci głową.

– To długa historia.

– Musimy dowiedzieć się czegoś więcej – upieram się.

– My?

Kiwam głową.

– Muszę się stąd wydostać.

– O czym ty mówisz, do diabła?

Patrzy na mnie z troską. Rozumiem ją. Sam też słyszę to w swoim głosie. Powrócił dawny ton. Kiedy Matthew został zamordowany, zwinąłem się w kłębek i czekałem na śmierć. Mój syn zginął. Nic innego nie miało znaczenia.

Ale teraz...

Rozlega się brzęczenie. Kędzior wchodzi do sali i kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Czas minął.

Rachel pośpiesznie wsuwa zdjęcie do koperty. Kiedy to robi, ogarnia mnie tęsknota i mam ochotę znów je zobaczyć, jakbym się bał, że było tylko złudzeniem. Mam wrażenie, że próbuję schwytać dym. Chcę zapisać wizerunek synka w swoim mózgu, ale jego twarz już zaczyna się rozplýwać, jak ostatni obraz widziany we śnie.

Rachel wstaje.

– Zatrzymałam się w motelu nieopodal.

Kiwam głową.

– Jutro wrócę – dodaje.

Znów kiwam głową.

– I jeśli chcesz wiedzieć, ja też sądzę, że to on.

Otwieram usta, żeby jej podziękować, ale nie wydobywają się z nich żadne słowa. To bez znaczenia. Rachel odwraca

się i odchodzi. Kędzior ściska moje ramię.

– O co chodziło? – pyta.

– Powiedz naczelnikowi, że chcę się z nim spotkać –
odpowiadam.

Kędzior szczyrzy zęby, które przypominają małe miętusy.

– Naczelnik nie spotyka się z osadzonymi.

Wstaję i patrzę mu w oczy. Potem po raz pierwszy od lat
się uśmiecham. Naprawdę się uśmiecham. Kędzior cofa się
o krok.

– Ze mną się spotka – mówię. – Powiedz mu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiazka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w **formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarń i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).